

Tajemnica nie zachwyca

TEATR LUDOWY. Premiera przed Gwiazdką

Nie od dziś wiadomo, że osiągnięcie w sztuce szlachetnej prostoty nie jest łatwe. Ince Dowłasz, reżyserująca w Teatrze Ludowym własną adaptację „Tajemnicy Bożego Narodzenia” Josteina Gaardera, nie udało się to, choć najwyraźniej ku owej prostocie dążyła.

Spektakl jest adresowany, jak można przeczytać w teatralnej ulotce, „do wszystkich dzieci i dorosłych”, i można dostrzec miotanie się twórców pragnących zaspokoić tak różnorakie potrzeby i wymagania.

Fabula jest wielowątkowa i skomplikowana. Tajemniczy kwiaciarz, wspominający ukochaną, poznaną w Rzymie Elisabet, tworzy adwentowy kalendarz, w którym kolejne daty kryją odcinki historii o podróży małej dziewczynki (też-Elisabet) przez kraje i wieki aż do Betlejem w chwili narodzenia Chrystusa. Mamy też Joachima, chłopca w wieku nastoletnim, i jego kłócących się rodziców. Nie są to może jeszcze rodzice toksyczni, ale niedaleko im do tego. Joachim dostaje od ojca tenże kalendarz, nabyty w antykwaracie. Odczytując kolejne karteczki, Joachim ogląda podróż Elisabet, a widzowie wraz z nim. Jest też trzeci wątek – porwanej przed laty Elisabet, na którą wciąż czeka matka. Tak wszystko się spleta, przeplata i plecie: może by z tego materiału powstało przedstawienie ciepłe, proste i wzruszające, gdyby nie wykonanie.

Scenariusz jest niejasny i nudny. Podróż Elisabet nafaszerowano sporą ilością bardzo skrótowych wiadomości historyczno-geograficznych, podawanych zawsze w ten sam sposób – wyświetla



Katarzyna Tiałka (Elisabet)

się obrazek z rzutnika i któraś z postaci go komentuje. Ponieważ małą Elisabet gra całkiem duża aktorka, w widzu rośnie zniecierpliwienie: dlaczego trzeba jej wszystko tłumaczyć, przecież musiała się czegoś uczyć w szkole. I co za pożytek z tych podawanych z namaszczeniem informacji?

Do Elisabet dołączają kolejno aniołowie, pastuszek, trzej królowie i rzymski namiestnik Syrii. Każdy z nich ma coś do powiedzenia na tematy ogólnie sztywne – dobra, człowieka, tajemnicy, duszy, miłości, radości dawania. Co gorsza, mają też często coś do zaśpiewania i zatańczenia, gdyż większość twórców naszego teatru uważa, że jak dla dzieci, to musi być śpiewane i tańczone, bo inaczej dziecko się znudzi. Piosenki głoszą w rymowanej formie te same co dialogi tematy, i w ten sposób liczba złotych myśli w spektaklu przewyższa liczbę aniołów na główce od szpilki. Myśli te

podawane są ze stosowną zadumą, namaszczeniem i wzruszeniem, szerokim gestem, szczerym spojrzeniem, lekkim pochyleniem (bądź też wzniesieniem) głowy. Najszerzy gest demonstruje Pastuszek Josza, który kijem i peleryną zagania towarzystwo i gromkim, acz przyjaznym głosem powtarza „Do Betlejem, do Betlejem”. Miało to pewnie być zabawnym i wzruszającym leitmotywem, ale powtórzone kilka razy, stało się kawałem z bardzo długą brodą.

W tej rozwlekłej scenicznej rzeczywistości pewne ożywienie prawem kontrastu wprowadza grubymi farsowymi środkami zagrana kłótnia rodziców Joachima (Beata Schimscheiner i Andrzej Franczyk). Trochę to dziwne, bo dotychczas kłócili się zupełnie bez przekonania. Niestety, gdy rodzic przynosi już zamordowanego siekierą karpia, robi się z powrotem słodko, wszystkie wątki spotykają się pod choinką: Elisabet dotarła do Betlejem, wróciła do matki i kwiaciarza, rodzina Joachima odnalazła zagubione w codzienności uczucia i wszyscy ruszają w tany, śpiewając o miłości słowami świętego Pawła, tymi o miedzi i cymbale. Tytułową tajemnicą jest więc, jak wielokrotnie w ciągu tych dwóch godzin deklarowano, miłość. Szkoda tylko, że nie zrodził się spektakl, który pozwoliłby widzowi przypajmniej przejąć się losami bohaterów i samodzielnie odczytać tę tajemnicę.

JOANNA TARGON

Teatr Ludowy: Jostein Gaarder
– „Tajemnica Bożego Narodzenia”.
Premiera: 4 grudnia 1999.